



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ZOFIA BUKOWIECKA.

Z dziejów cywilizacji.

(Dokończenie).

— Daktylowe pieniądze, doskonała rzecz! — woła Janek — z pomocą daktyli można rachować równie dobrze, jak z pomocą kopiejek.

— Rachować, tylko nie schować — mruknął z nieukontentowaniem Michaś.

I Michaś miał znów rację, bo wór daktyli przechować trudno, prędko się one psują, a co robić ze zgniętymi pieniędzmi? Nabyto więc nowe doświadczenie, że pieniądz musi być łatwo podzielnym, nie psującym się i niezniszczalnym, a jednocześnie chętnie przez wszystkich przyjmowanym.

— Sól ma te przymioty! — zawołał uradowany swem odkryciem Janek.

— Prawda, sól ma te wszystkie przymioty, ale mój Janku, pomyśl, ile trzebaby przywieść soli do sklepu, aby zapłacić nią zegarek, który mama kupiła wczoraj?

Janek zmieszał się, jednak projekt jego był dość trafny, czego dowodem, że w Afryce, w królestwie Dahomeju, sól dziś jeszcze zastępuje w handlu miejsce pieniędzy.

Użycie soli jako towaru trzeciego, oznacza już wielki postęp w pojęciach ludów o mierniku wartości. Widzieliśmy, że brano go najprzód ze świata zwierzęcego, potem ze świata roślinnego, sól dawała początek użyciu minerałów. Ale sól nie odpowiada jeszcze wszystkim warunkom, jakie mieć powinien dobry pieniądz, raz dla tego, że się rozpusza na wilgoci, powtóre dla tego,

że ma małą wartość w stosunku do swojej objętości, potrzebie, że nie wszędzie jest równie dobra, to jest równie czysta.

Dobry pieniądz powinien posiadać pięć przymiotów, a wszystkie te przymioty mają właśnie dwa drogie metale, złoto i srebro.

1) Złoto i srebro nie rdzewieją jak żelazo i mają piękny połysk, więc podobają się ludziom.

2) Złoto i srebro są prawie niezniszczalne; ogień może stopić dukaty lub talary, ale wartość metali pozostaje taż sama.

3) Złoto i srebro są wszędzie jednakowego gatunku i dobroci. Ruda żelazna polska jest gorszą od szkockiej, ale złoto kalifornijskie nie różni się niczem od złota wydobytego w Australii lub w górach Uralu.

4) Złoto i srebro można łatwo przewozić z miejsca na miejsce, bo żaden towar niema tak wielkiej wartości stosunkowo do swej objętości.

5) Złoto i srebro można dzielić na drobne kawałki, a każdy okrucz będzie miał odpowiednią wartość do swojej wagi.

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Plac zamkowy w końcu XVIII wieku.

— Czemuż więc ludzie odrazu nie użyli złota na towar trzeci, przecież każdy zrozumie, że tak jest najlepiej — zapytał Janek. — Mój Boże! Gdybyż to ludzie odrazu trafili na najlepszy pomysł, ale trzeba setek, a czasem tysięcy lat, zanim człowiek odkryje rzecz bardzo prostą. Toż miliony ludzi gotowało wodę i widziało jak para ucieka z garnka, jak rozsadza zamknięte szczelnie naczynie, a dopiero Stefenson spostrzegł, że w parze jest siła, która może popychać wagony i statki. Kto wie ile takich sił, takich prostych, łatwych na pozór odkryć otacza was, dotyka, trąca, jakby wołało: No domyśl się! zga-

dnij! ogłoś światu coś nowego! a wy się nie domyślcie, nie odgadujecie, nie ogłaszacie, bo jeszcze nie przyszedł czas. Trzeba prosić Boga o wielką miłość do prawdy, pracy i wiedzy; trzeba serca, głowy i rąk nie szczędzić, a może ktoś z was wzbogaci świat nowem nieznanem dobrodziejstwem, jak Stefenson wzbogacił go zastosowaniem pary.

Ale wróćmy tymczasem do złota i pieniędzy.

Wiemy już, że trzeba je robić z metali, że najodpowiedniejszymi metalami są złoto i srebro. Używają jednak dotąd i pieniądze miedzianych, a w dawnej Sparcie, jak i dziś w niektórych krajach Afryki, używano żelaznych. Za miernik wartości powszechnie jednak uznanem już zostało złoto i srebro. Nie myślcie przecież aby monety złote i srebrne miały odrazu ten kształt i wygląd, jaki obecnie nadają pieniądзом. O wcale nie! Starożytnie sztuki złota i srebra, które służyły za pośrednika przy wymianie towarów, były istotnie sztukami, to jest kawałkami metali. Nie zaokrąglano ich jak dziś, nie wybijano stempla z oznaczeniem wartości, były to niekształtne odłamki złota, które z czasem przybrały formę kwadratu lub trójkąta.

— Ależ w takim razie bardzo łatwo oszukiwali się ludzie na wartości pieniędzy — zauważył Michaś.

— Spozrzenie twoje, chłopcze, jest zupełnie słuszne, jednak przez wiele wieków Asyryjczycy i Chaldejczycy w ten sposób prowadzili niezmiernie rozległy handel, a jeszcze w obecnej chwili Chińczycy zamiast oznaczonych stemplem pieniędzy używają do wypłat cienkich sztab złota, które w miarę potrzeby tną na kawałki, ważąc na wadze ilość metalu, według żądania.

Historja monet jest bardzo ciekawą, bo na ich stemplach przechowały się nie tylko wizerunki królów i bohaterów starożytności, ale także szczegóły dotyczące dawnych strojów, sztuki wojennej, rzemiosł i t. p.

W muzeach, to jest w zbiorach naukowych, których niestety mało mamy w Warszawie, można widzieć pieniądze bite na kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa Pana. Najstarsze pochodzą z Argos w Grecyi, i z Lydii w Azji Mniejszej. Sławny bogactwy Krezus, król Lydii kładł na monetach stemple, wyobrażający głowę wołu i lwa, monety te były wypukłe, podłużne, stemplowane z jednej tylko strony. W Grecyi kwitła sztuka bicia pieniędzy, jak kwitły wszystkie inne sztuki piękne. Monety greckie są też bardzo ozdobne i noszą na stemplu różne znaki. I tak: pieniądze z Egiptu stemplowano żółwiem, Beockie tarczą, w Efezie pszczołą, a Rodyjskie różą. Łóżniej znaczone monety wizerunkami bożków. Najpiękniejsze jednak są z czasów Filipa Macedońskiego; on też pierwszy kazał na monetach kłaść swój wizerunek. Prawdziwie użytecznym stał się pieniądz wtedy dopiero, kiedy nosić zaczął wyraźny znak swej wartości, ale takie pieniądze dużo późniejszych sięgają czasów.

We Francyi za Karola Wielkiego bito monety, z których każda ważyła funt. i nazywano je też fantem (la livre). Taki sam był początek funta szterlinga angielskiego.

— Pieniądz waży funt! ależ to niewygodna do noszenia moneta — zawołał Józio.

— Masz słusność, więc też z czasem, chociaż nazwa została ta sama, zmniejszono wartość i objętość pieniądza. Funt francuski, który był w obiegu aż do końca XVIII-go wieku, a który dziś zowią frankiem, waży tylko 5 gramów, zaś funt angielski posiada wartość i wagę 25 razy większą.

— A kiedy u nas zaczęto bić pieniądze, czy znano je już za Piastów? — zapytał Michaś.

— U nas, kochany Michasiu, bito już pieniądze za Piastów, tylko nie posiadamy muzeów, to jest zbiorów przechowujących ciekawe przedmioty, gdzieby publiczność numizmaty, czyli stare monety, oglądać mogła. Są jednak ludzie uczeni, którzy je gromadzą częściowo, zbiór taki widzieć można w Wilanowie, oraz u wielu prywatnych osób.

Z czasów Piastowskich dużo nawet mamy numizmatów, sięgają one panowania Mieczysława I-go, a na monetach bitych pod rządami jego syna Bolesława Chrobrego, wyraźnie już czytać można Boleslaus dux, czyli Bolesław książę, były

bowiem bite przed koronacją Chrobrego. Ciekawe są pieniądze z czasów Bolesława Krzywoustego, przedstawiają one trzy figurki za stołem siedzące, które mają wyobrażać trzech synów królewskich, Bolesława, Mieczysława i Kazimierza.

Monety z czasów Kazimierza Wielkiego, stemplowane są orłem, noszą zaś napis, Dei gratia Rex Poloniae, co znaczy: Z Bożej łaski król polski.

Sztuka mennicza, to jest sztuka bicia monet, rozkwitła w Polsce za czasów Zygmunta I-go. Bito wtenczas monety w Krakowie, Wilnie, Gdańsku, Toruniu i Elblągu. Odtąd też, to jest od roku 1504, zaczęto na monetach wybijać ich datę, zwłaszcza na dukatach, które czerwonemi złotem zwaną, a które były bardzo piękne. Pod panowaniem Wazów sztuka mennicza w koronie upadła. Najudatniejszych monet dostarczał Gdańsk i Elbląg. Dopiero Stanisław August sprowadził do Warszawy z Prus niejakiego Gartenberga, który szlachectwo polskie otrzymawszy, Sadogórkim się przezwiał i został generalnym administratorem mennicy warszawskiej, mieszczącej się na ulicy Bielańskiej, a bił pieniądze wiewrotnego stempla.

Zmęczycie się może długiem mojem opowiadaniem, ale za to teraz pewno nie jeden z was spojrzawszy na pieniądz, pomyśli z wdzięcznością o ludziach, którzy się przyczynili do stopniowego udoskonalenia monety, a że ludzie ci oddali nam wielkie usługi, przekonamy się zaraz.

Dziś dzień gorący, widzę z jaką ochotą Janek zjadłby soczystą gruszkę. Niestety, nie mam ogrodu, przy mojem mieszkaniu nie rosną drzewa, poradźmy jednak na to. Wiesz Janku, wczoraj właśnie odniosono mi pieniądze za mój towar, weź ich część i wymień na gruszki.

Janek natychmiast wykonał polecenie.

Ale bo też wymiana była bardzo łatwą. Na monecie napisana jej wartość, przekupka sprzedająca owoce zważyła gruszki i Janek wrócił szybko ze swoją torebką.

Podczas gdy on zajada gruszki, ja myślę, co się też stało z moim towarem. Janek wymienił go na owoce, sklepikarka użyje może tych pieniędzy, żeby opłacić naprawę trzewików, szewc kupi skóry, garbarz z kolei nabędzie za te same pieniądze książkę, księgarz zapłaci niemi dorożkarzowi i tak dalej, dalej, dalej wędrować będzie mały srebrny pieniążek, pośrednicząc wciąż w zamianie, służąc może całe wieki, bo przypominam wam, że złoto i srebro są prawie niezniszczalne, że piękny dukat, który pokazuję Michasiowi, wybity był może z okrucia złotej misy, należącej niegdyś do Sardanapala.

Nawet poważny Michaś uśmiecha się na to przypuszczenie, a jednak nic w nim niema niemożliwego. Wszakże wciąż odkopują, zwłaszcza na Wschodzie złote przedmioty, które w części przynajmniej przekuwają na monety; wszakże w czasie wojen przekuwano tak naczynia ze starych skarbców, wszakże Regina Żółkiewska, żeby ratować męża pod Cecorą, wszystkie swe kosztowności i srebra stopiła na pieniądze.

Kto wie jaką jest historia sztuki złota, otrzymanej za nasz towar? W każdym razie winniśmy jej wdzięczność, bo ona to pośrednicząc między ludźmi w wymianie bogactw po części sprawiła to, że ubogi robotnik może spożywać i używać produktu i wyroby dalekich krajów. Wełna jego sukien pochodzi najczęściej z Ameryki lub Australii, ryż, który jada, — z Azji, kawę przywieziono z Antyllów a naftę z Kaukazu. Łatwość, z jaką te towary rozchodzą się pomiędzy nami, zawdzięczamy prócz środkom komunikacyjnym, także pośrednictwu pieniędzy..

Nie pieniądz jednak jest bogactwem, pamiętajmy o tem, a że zacząłem to opowiadanie od historii króla Midasa, więc pozwólcie bym je zakończył historją innego króla, który wam Frygijskiego monarchę przypomniał.

W dziesiątym wieku przed nar. Chrystusa Pana, panował w Izraelu król Salomon, a imię to znaczy „człowiek pokoju.” Bo też kochał on pokój i pragnął szczęścia dla swego ludu, a że był pobożny, więc błagał Boga o łaskę potrzebną dobremu monarsze. Raz, kiedy spoczywał po pracach dnia,

ukazał mu się we śnie Pan i pozwolił zanieść do siebie prośbę, przyobiecawszy w miłosierdziu swem, że jej łaskawie wysłucha raczy. Ocknął się Salomon i padł na twarz, dziękując Bogu w pokornej modlitwie za usłyszaną obietnicę, a czując znikomość sił ludzkich, błagał Pana o dar mądrości, tak potrzebny dla każdego człowieka, tem więcej zaś dla monarchy.

I wysłuchał Bóg pokornej prośby wiernego sługi, dał Salomonowi mądrość prawdziwą, która złemu zapobiegnie, dobre pomnoży, jest mądrością roztropną, sprawiedliwą, a potrafi być w potrzebie wstrzeмиęliwą i mężną.

O ten najdosłojniejszy dar, jaki człowiek od Stwórcy otrzymać może, o mądrość, i nam modlić się trzeba, a wtedy dobrze spełnimy służbę swą na świecie, gdzie tyle rzeczy was otacza. Bogactwa zdobyte po dziś dzień przez ludzkość są jeszcze bardzo małe w stosunku do milionów istot żyjących i żądających zaspokojenia swych potrzeb. Gdyby cały majątek świata podzielili równo między ludzi, wszyscy byłiby nędzarzami. Ale można do nieskończoności pomnażać bogactwa, odkrywając nowe skarby. Do niedawna metal aluminium, leżał ukryty w ziemi i nie domyślał się nikt jego istnienia, a dziś wyroby aluminiowe stanowią cenny nabytek. Na 140,000 znanych w botanice roślin, zaledwie 300 jest w uprawie i oddaje nam usługi. Kto wie jakie tkaniny lub jakie pierwiastki pożywne kryją się w innych?

Szukajcie młodzi przyjaciele, może uda się któremu z czytelników „Wieczorów” obdarzyć świat nowem bogactwem.



W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Pospieszono na ratunek Mildmay'owi; szczęściem profesor, obok innych wiadomości, posiadał niejaką znajomość medycyny i chirurgii; zajął się więc zaraz opatrunkiem. Rany nie okazały się niebezpiecznymi, porucznik miał tylko złamane żebro i był mocno potłuczony. Trochę wódki własnej w zaciśniętą usta, powróciło mu przytomność, ale w skutek dotkliwego bólu, nie mógł poruszyć się z miejsca.

Umyślono tedy zostawić go pod strażą dwóch towarzyszy, mogących w razie potrzeby bronić go od napaści zwierząt, trzeci zaś miał udać się na statek i sprowadzić go o ile można szybko bliżej do miejsca wypadku, aby łatwiejsze było przeniesienie chorego na łóżko.

Karliński, ułożywszy porucznika o ile było można najwygodniej, ofiarował się iść po „Latającą Rybę,” tłumacząc, że jego pomoc w obronie od zwierząt nie będzie tak skuteczną, a za to postara się okręt sprowadzić jaknajprędzej. Jakoż dotrzymał słowa; w pół godziny później statek w odległości kilkunastu jardów przybił do brzegu i chorego z wielką ostrożnością przeniesiono do kajuty.

Po południem śniadaniu, baronet z pułkownikiem poszli na odszukanie zabitej zwierzyny i powrócili przed wieczorem obciążeni łupami, z tuzinem upolowanych ptaków w dodatku. Podczas ich nieobecności profesor zajęty był pielęgnowaniem rannego towarzysza i oprawianiem jednego z zabitych mamutów; tę ostatnią robotę, z pomocą kolegów zdążył przed wieczorem ukończyć; kości oczyszczone i umiejętnie złożone, dawały dokładne pojęcie o całej budowie zwierzęcia, odrzucone zaś mięso wraz z inemi ubitemi sztukami, zostawiono na żer wilkom, które gromadziły się licznie w pobliżu. Dla uniknięcia przykrych wyziewów, podróżni płynąc wzdłuż brzegów, posunęli statek o milę dalej.

Dzięki troskliwej opiece profesora Mildmay prędko odzyskiwał zdrowie; uspokojeni z tej strony pułkownik i baronet postanowili doprowadzić do skutku wyprawę, nad którą naradzali się od trzech dni, chcieli mianowicie puścić się w głąb łądu wyobrażając sobie, że nie dalej jak o sześć mil od wybrzeża natrafiają na punkt osi bieguny północnego. Przypuszczali, że wycieczka ta nie zabierze im więcej nad sześć dni. Mogli wprawdzie wygodniej odbyć ją na statku, ale profesor zajęty był właśnie wyprawianiem skóry mamuta, którą suszył na wybrzeżu i nie spuszczał jej na chwilę z oczu, nie wypadało zatem ruszać „Ryby” z miejsca. Myśliwi nadto nie sądzili, aby wycieczka piesza w tych stronach zbyt uciążliwą dla nich być miała; mogli co najwięcej spędzić kilka nocy pod gołym niebem, co raczej stanowiło przyjemność dla zahartowanych myśliwych.

Poczyniwszy tedy odpowiednie przygotowania, dwaj Anglicy z rana po śniadaniu wyruszyli w drogę, pożegnawszy się z Mildmay'em, który próbował już podnieść się z łóżka i z profesorem zadowolonym, że mu nie będą przerywali roboty.

Tym razem podróżni nie zabrali z sobą dużych zapasów, wiedząc, że okolica obfituje w zwierzynę, i że ją na zwołanie mieć mogą, wzięli z sobą tylko trochę biszkoptów i dwie butelki wódki. Ponieważ pogoda sprzyjała im od chwili wylądowania na ziemię Elfinstona, zaopatrzyli się tylko w wierzchnie nieprzemakalne płaszczki, a reszta rynsztunku składała się z dubeltówek, ładownic, noży myśliwskich i skórzanej torebki, w której oprócz wspomnianej żywności znajdował się tytuń i zapalki.

Droga spadzista zrazu, prowadziła dalej przez rozległą równinę, zakończoną łańcuchem wzgórz. Uwagę podróżnych zwróciło zaraz dziwne zjawisko: z poza owych pagórków unosiła się w powietrzu para, chwilami tak lekka, że przez nią jak przez przezroczystą gazę dojrzeć było można ciągnący się dalej krajobraz, to znowu tak gęsta jak ciemna chmura, o którą promienie słoneczne odbijały się oślepiającym blaskiem. To zgęszczenie pary następowało w równych, dwudziestominutowych przerwach czasu, zjawisko kończyło się ukazaniem świetlanej, siedmiobarwnej tęczy. Peryodyczne powtarzanie się podnoszenia i opadania oparów, oraz wywołana przez nie gra światła pobudziły w najwyższym stopniu ciekawość podróżnych; przyspieszyli kroku, aby zbadać tego przyczynę.

W miarę jak posuwali się naprzód, wzgórz zacieśniały coraz więcej dolinę, grunt stawał się kamienisty; niebawem stanęli u wejścia wąwozu, ujętego z dwóch stron stromymi ścianami skał; pokryte one były mchem, kępami traw gdzieś niedziedzie i pojedynczemi drzewami sosnowemi, rosnącemi w rozpadlinach. Tu i owdzie skubały nędzną trawę woły pizmowe, szukając pożywienia na wyniosłościach, gdzie trudno było pojąć, którędy mogły się tam dostać i jak stamtąd zejść potrafią.

W miarę jak podróżni zapuszczali się w głąb wąwozu, przejście stawało się coraz uciążliwsze; drogę zawałowały bryły kamienne takiej wielkości, że po nich z mozołem piąć się było potrzeba. Nie zrażeni trudami, wytrwale szli naprzód, mając nadzieję, że przebyte zapory zbliżą ich do zamierzonego celu. W taki sposób doszli do ciasnego przesmyku zawałonego olbrzymią skałą. Powietrze było tam chłodne i wilgotne, w szarawym zmroku, jaki zalegał dokoła na odległość kilkunastu kroków, nic nie było można widzieć.

Zmordowani podróżni z niezadowolaniem spojrzeli na siebie. Czyż rezultat ich uciążliwej wyprawy, nie miał być osiągnięty? Między zaporą skalną, a ścianą wąwozu, znajdowała się szczelina tak wąska, że człowiek z trudnością mógł się przez nią przecisnąć; Anglicy jednak postanowili z niej skorzystać i tym otworem przedostali się na drugą stronę wąwozu dla zaspokojenia ciekawości swojej. Baronet przesunął się pierwszy, a okrzyk zdumienia jego pociągnął za nim wprędce pułkownika.

Znaleźli się w ciasnej rozpadlinie między dwiema ścianami. Założyły jednej odpowiadały załomom drugiej, co



Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego (str. 398).

świadczyć się zdawało, że w odległej epoce rozpadlina ta wytworzyć się musiała przez jakieś gwałtowne wstrząśnienie. Sklepienie owej pieczary tworzyły piętrzące się jedna nad drugą bryły kamienne, a przedsiębiorczych podróżników mimowoli dreszcz przejmował na myśl, co by się z nimi stało, gdyby najmniejsza z tych brył osunęła się nagle i pociągnęła za sobą zawalenie się skalnego sklepienia. Instynktownym ruchem w tył się cofnęli, ale potem zaraz jakby wstydząc się tego, postąpili kilka kroków dalej. W głębi rozpadliny ujrzeni mały otwór, jakby wejście do jaskini; po krótkiej naradzie postanowili przekonać się, co ta jaskinia zawierać mogła.

Mieli w ręku grube sosnowe gałęzie, któremi podpierali się przy mozolnem wchodzeniu na skały, a które, oderwane od pnia, burzą zapewne zamiesione były w czeluście wąwozu. Te gałęzie umyślili użyć w potrzebie za pochodnie.

Drzewo smolne, zrazu trudne do rozpalenia, zajęło się niebawem płomieniem i przy świetle owych pochodni odważni ludzie weszli w głąb jaskini.

XIII.

U bieguna północnego.

Zrazu przejście tak było niskie, że baronet i pułkownik zmuszeni byli czołgać się na rękach

i nogach; dopiero po przebyciu jakich stu łokci, mogli stanąć obok siebie, chociaż zawsze wysokość jaskini tak była nierówną, że czasami musieli się posuwać pochyleni, czasami znów światło ich pochodni nie dosięgało sklepienia.

Mimo to szli odważnie przez całą godzinę po ostrym, kamienistym gruncie, gdy ujrzeni słaby blask dzienny, przedzierający się przez jedną z bocznych szczelin skały. Skierowali kroki w tę stronę i niebawem znaleźli się na otwartem powietrzu.

Przy wyjściu z jaskini śliczny widok przedstawił się ich oczom: piaszczyste wybrzeże ciągnęło się ponad kotłina, mającą około mili obwodu, brzegi jej tworzyły skały pochodzenia wulkanicznego, w głębi zaś jaśniała tafła czystego, jak kryształ jeziora, lekkie opary unoszące się w górę, niby delikatna gaza, przysłaniały kontury dalszego krajobrazu, nadając mu czarodziejski jakiś urok.

— Woda ta jest ciepłą — zawołał sir Reginald, zanurzwszy rękę w jeziorze i zacerpnawszy dłonią trochę owej wody dla przekonania się o jej smaku.

Pułkownik naśladując przyjaciela, mógł stwierdzić, że woda nie tylko ciepłą ale gorącą była. Zastanawiali się nad przyczyną podniesionej temperatury w jeziorze, gdy naraz pośrodku jego zauważyli niezwykle ruch wody. W pierwszej chwili występować zaczęły małe bąbelki na jej powierzchni, potem zaczęła się bałwanic i pieniać, a po minucie w obwodzie kilkudziesięciu metrów, gotowała się jak w kotle. Niespodzianie strumień jeden trysnął w górę i zanim zdumieni podróżnicy mogli zdać sobie sprawę z tego zjawiska, słup wody do dwustu stóp wysoki, wzbil się w powietrze, świecąc blaskiem łamiących się w nim promieni słonecznych, potem zaraz opadł w głąb jeziora, rozpryskując się o skały nadbrzeżne i zostawiając za sobą obłok białawej pary.

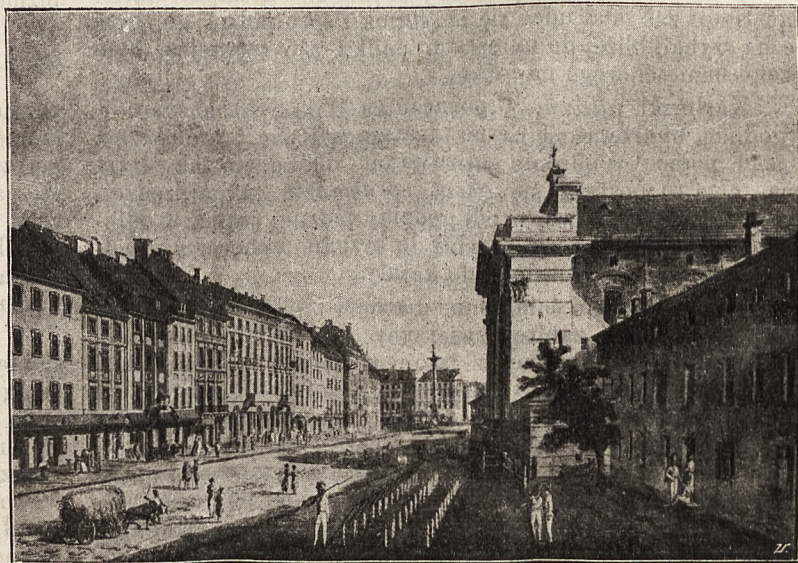
— Geiser! — zawołał baronet zachwycony tym widokiem — geiser przewyższający wspaniałością i wielkością największe geisery w Islandyi.

— Prawda — odparł pułkownik — wielki geiser islandzki, który tak mnie zachwycał, w porównaniu z tym!... — Dołożył zdania wymowniejszym od słów poruszeniem ramion.

— Musimy tu sprowadzić profesora — dodał po chwili — dla uczczenia zaś zasług rozumnego i zacnego człowieka, geiser ten nazwijmy „geiserem Karlińskiego,” wszak dobrze brzmi ta nazwa?

Sir Reginald przystał chętnie na żądanie towarzysza i obaj puścili się w dalszą drogę, idąc wzdłuż wybrzeży skalistych.

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Widok Krakowskiego Przemysławskiego Przedmieścia w końcu XVIII wieku.

— Teraz pojmuje to peryodyczne ukazywanie się obłoków pary dziś rano — rzekł baronet — zjawisko to niewątpliwie z geiseru tego pochodziło.

Dla dłuższego nacieszenia się widokiem osobliwych wodotrysków, podróżni w pobliżu ich zasiedli do śniadania, a posiliwszy się i wypczawszy nieco, pociągnęli dalej. Niebawem doszli do miejsca, gdzie wody jeziora miały ujście swoje; wypływający z nich strumień w następstwie peryodycznych wybuchów geisera, zamieniał się chwilowo w bystry, dziesięć stóp szeroki i cztery stopy głęboki potok, wracając wkrótce do

dyamentów! Patrz tylko — dodał, pokazując towarzyszowi skryształizowany kamień wielkości gołębiego jaja — wszak to dyament najczystszej wody!

Baronet krytycznym okiem przyglądał się chwilę drogo-cennemu kamieniowi, a oddając go, rzekł obojętnym tonem:

— Nie znam się na wartości dyamentów; w każdym razie jeśli się nie mylisz i natrafiłeś w istocie na ich pokłady, to ci można powinszować.

— Czyż mnie tylko można winszować? — zagadnął pułkownik — cóż to znaczy? Należy winszować nam wszystkim

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



WIDOK BIELAŃSKIEJ ULICY W XVIII WIEKU.

zwykłych rozmiarów swoich. W odległości dwóch mil ku północy podróżni natrafili na kamieniste tego strumienia łożysko; woda pracą długich wieków wyłobila w nim wąwóz kilkanaście stóp głęboki, o ścianach skalnych, tworzących stromą pochyłość. Przy promieniach słońca, które padały na jedną z tych skał, baronet zauważył błyszczące kryształki wśród kamiennych brył i spostrzeżenia swego udzielił pułkownikowi; ten przyskoczył szybko do wskazanego miejsca, przykleknął na zwirze, potem zaraz zerwał się na nogi a wywijając nad głową świecą bryłką, zawołał z radosnym uniesieniem:

— Wiwat! Elfinston, wygrana nasza, oto mamy źródło bogactw nieprzebranych, natrafiliśmy na napływowe pokłady

zarówno; każdy nabytek i wynalazek w ciągu podróży zrobiony, staje się przecież wspólną naszą własnością. Nie mam nadto wąpliwości co do rzeczywistej wartości tych kamieni; nauczyłem się poznawać i oceniać dyamenty w kopalniach w południowej Afryce. Tu znajduje ich się tak wielka obfitość — dodał, podnosząc z ziemi kilka kryształów — że jedna godzina pracy każdego z nas obdarzy majątkiem.

W takim razie na rachunek waszych zysków, rękę do dzieła przyłożę; osobiście jestem dość zamożnym, iżbym szukał jeszcze korzyści dla siebie, nie wezmę ani jednego z tych cennych kamyków, póki wy nie będziecie w nie dostatecznie zaopatrzeni — oświadczył baronet.

Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego.

Przed dwoma tygodniami poświęcony został przez J. Eks. biskupa Ruskiewicza w kościele PP. Wizytek w Warszawie pomnik znakomitego uczonego Jędrzeja Śniadeckiego. Pomnik ten umieszczony w środkowym filarze kościoła po prawej stronie, jest dziełem znanego rzeźbiarza, Piusa Welońskiego, a wzniesiony został staraniem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności w wykonaniu pośmiertnej woli byłego ucznia Śniadeckiego, doktora Orzechowskiego z Nowogródka, który cały swój znaczny majątek, zapisał Towarzystwu pod warunkiem wzniesienia pomnika Śniadeckiemu. Już z tego wnosić można, jakimi zaletami odznaczał się uczony profesor, skoro tak wdzięcznych i czczących jego pamięć wychował uczni.

W numerze 52 m Wieczorów z roku zeszłego, podaliśmy życiorys i szkic działalności Jędrzeja Śniadeckiego, przypominamy więc tylko pokrótce, że obaj Śniadeccy: Jan, astronom i filozof i Jędrzej przyrodnik i lekarz (ur. 1768 † 1838 r.) byli profesorami uniwersytetu wileńskiego. Najznakomitszym dziełem Jędrzeja, które mu wszechświatową zapewniło sławę, była „Teorya jestestw organicznych.”

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Przemko mówił tak jak się mówi do dziecka upartego, by go przekonać, lecz stary wciąż powtarzał:

— Nie chcę, nie chcę! Jesse, Żywie, Kupała, to moje bogi, to bogi ojców moich, innych nie znam!

Dobrogost sam zaważał się co czynić, ujrawszy pięciu tych białych starców, bo z kimże, tu było wojować? Wszystko jedno stawać do walki z martwymi, powstały mi z grobu. Ale pomyślał sobie, że król gniewałby się bardzo, gdyby się dowiedział, że nie zburzono miejsca gdzie się zgromadzali poganie. Przetrzęsając skały, znaleziono tam niewielką pieczarę, zakrytą krzakami, a w niej znajdował się wysoki bałwan z krzemienia wyobrażający bożka Świst-Pośwista. Dobrogost rozkazał zapalić pochodnie; oświetlono pieczarę, oraz poczerniały posąg bożka, który spoglądał na przybywających swemi wielkimi, nieruchomymi oczyma.

— Przynieść tu topory! — krzyknął Dobrogost, a obruciwszy się do starców, rzekł: No, siwobrodzi ojcowie; nic wam złego nie zrobimy, ale rozjedźcie się, bo mamy tutaj robotę.

Milczenie mu odpowiedziało; pięciu starców nie ruszyło się z miejsca:

— Jak chcecie, odrzekł Dobrogost, uprzedziłem was, a jeśli pragniecie zostać, zostawajcie. Hej, chłopcy, do dzieła, porąbać mi tego bałwana kamiennego, niechaj ludu nie bałamuci, a te wszystkie kamienie zburzyć także trzeba! Wtedy jeden z upartych starców podniósł się z twarzą uroczystą:

— Więc tak? — zawołał — burzycie to ostatnie schronienie, gdzieśmy cześć oddawali starym bogom? Więc już i starce bezsilni wam stoją na zawadzie, bo oni pamiętają gdy młodzi zapomnieli, o wszystkim, co niegdyś było przedmiotem czci ich ojców?

Jeśli tak, to niema już dla nas miejsca na tym białym świecie, i nie, prócz śmierci, nam nie pozostaje! Puśćcie nas, zostawimy wam wolne miejsce!

I z podniesioną głową przeszedł pomiędzy ludzmi Dobrogosta, którzy się przed nim rozstępowali, jak przed marą.

Przeszedł i stanął na krawędzi skały; pod nogami jego była przepaść na której widok w głowie się zawracało. Sińjące wierzchołki drzew kołysały się tam w dół, powleczone cieniotką, zastłoną mgłą wieczornej; wyciągnął ręce nad głębią; przez chwilę jeszcze obecni widzieli jego postać wznoszącą się ponad oteblanią i siwe włosy, rozwiane przez wiatr; wszyscy zamknęli oczy z przerażeniem... Gdy je otwarli, starca już nie było... Reszta jego towarzyszy, jeden po drugim podnosili się z kamieni, a przechodząc pomiędzy tłumem, oniemiałym ze zgrozy, stawali nad przepaścią i znikali.

Przemko rzucił się, by ojca powstrzymać; lecz stary Zabój ukląkł, a objawwszy rękami kamień ofiarny, zawołał rozkazująco:

— Nie dotykaj mię, nie dotykaj!

Padł twarzą na kamień ofiarny; Przemko poskoczył by podnieść, lecz stary Zabój już nie żył, poszedł do swoich bogów.

Dobrogost kazał zburzyć dokoła wszystkie zabytki pogaństwa, i słońce dnia następnego oglądało już tylko szczątki pozostałe po owem zniszczeniu.

* * *

Nazajutrz wieczorem Masław jechał doliną Prądnika w stronę Krakowa. Sam jeszcze nie wiedział, gdzie się ma udać; wszystkie jego zamiary i nadzieje upadły; budowa, stawiana tak starannie, z takim wysiłkiem woli i zastanowienia, runęła mu na głowę.

Od swoich zaufanych dowiedział się o pochodzie Dobrogosta na górę Łysą, i wiedział, że już wszystko skończone; ponury wzrok utopił w zachodzącem słońcu, które widziało jego porażkę.

— I cóż można zrobić z nikczemnymi tehórzami, którzy na samą pogłoskę o powrocie Bolesława, uciekają jak stado płochliwych owiec? mówił do siebie. Daremnie walczyłem z przeznaczeniem, albo raczej ze słabością i niedołęstwem; jedno ramię nie potrafi podtrzymać całej budowy. Ale jeśli padnę, to niech padają ze mną i wrogi moje; wilcze plenię musi zginąć, bo nie chcę, by cieszyło się moim upadkiem. Jeśli prawdę mówił Rokitka, że oni mi stanęli na drodze do potęgi, to nie ujdzie im to bezkarnie. Znajdę ja sposób, by doszły do króla zdradzieckie knowania knezia Mszczuja, a wówczas ostatnia jego chwila nastąpi. Dziś jeszcze, dodał po chwili namysłu, tak, dziś jeszcze poszlę Wyrwidęba do wojewody Bożydara, który, jak słyszałem, poprzeda hufce królewskie, dowie się odeń, że syn jego znajduje się uwięziony wraz z obu księżmi w gródzku knezia, niech zburzy to gniazdo rozbójnicze. Ja zaś będę miał dość czasu ukryć się w bezpiecznym miejscu, zanim królewskie wojska przyjdą tutaj.

O bogowie — dodał z gniewem — obiecywaliście mi potęgę, władzę nad tłumami, i gdziesz ona? Wszystko rozwiało się, wszystko znikło, jak mgła poranna, jak dym!

W chwili, gdy słów owych domawiał, usłyszał za sobą znany mu śmiech szyderycy, tym razem jeszcze głośniejszy niż zazwyczaj.

Obejrzał się, z poza skały wysunęła się mała, niekształtna postać i stanęła nad drogą.

— Ty, przekleństwo! — zawołał Masław gwałtownie. Dla czegoż obiecywałeś mi powodzenie, kiedyś wiedział, że niebawem ma upaść wszystko? Zapłacisz mi za to!

Głośny wybuch śmiechu odpowiedział mu.

— Masławie — wyrzekł karzeł w końcu — po co się gniewasz? Po co napadasz na mnie? Alboż wiesz, jakie twe przyszłe losy? Alboż wiesz co ci jeszcze czeka? O nie narzekaj! wszystko co ci przepowiedziałem jest prawdą, wszystko; wyuienie, potęga, panowanie, i koniec także. Wszak mówilem, wysoko pójdziesz, i teraz to powtarzam.

Ton jego stał się coraz bardziej szyderskim, wybuch śmiechu, jeszcze głośniejszy, jeszcze podobniejszy do zgrzytu żelaza, zakończył jego mowę. Nim Masław się spostrzegł, już postać karła znikła wśród głązów, tylko długo jeszcze śmiech jego rozlegał się między skałami lecz coraz się oddalał aż wreszcie ścichł zupełnie.

Masław pozostał sam. Przed nim leżała samotna, cicha dolina Prądnika w czerwonych blaskach zachodu, i tylko szum wody po kamieniach przerywał głębokie, zalegające ją milczenie.

Wspiął konia i jechał dalej przed siebie, tam gdzie purpurowa luna roztaczała się na niebiosach. Od wschodu wiatr się zrywał i pędził gromady chmur fioletowych, poszarpanych, z czerwonymi rąbkami.

Odtąd nie słyszano już nic o Masławie; głuche tylko wieści chodziły, że uciekł do Czech przed gniewem Bolesława, nie słyszano o nim aż pokąd nie wystąpił znów, ale dopiero po śmierci tego króla.

Kroniki wspominają jego imię, obok imienia Bezbrajma który również po zgonie ojca, rozpoczął wojnę z bratem i za truł mu życie, podczas gdy Masław ukazując się w czasach burzliwych i pełnych klęsk, jak szatan zniszczenia, siał dokoła siebie mord i spustoszenie, by nacieszywszy się chwilową potęgą zginąć potem z rąk własnych stronników, którzy powiesili go, przemawiając: „Wysokość mierzył, wysoko wisisz!”

XX

Kneź Mszczuj, od kiedy się pokłócił z Masławem, działał na własną rękę, lecz i jemu nie wiodło się; pomimo to, przed nikim nie zwierał się ze swymi zamiarami i niepowodzeniami, naradzając się tylko niekiedy potajemnie z Ziemkiem, jednym ze swych starych, zaufanych sług. Nawet syn nie wiedział kędy wysyłano owe poczty zbrojne, oraz owych gońców, którzy codzień niemal wyprawiani byli w różne strony. Drahomir dziwił się też niemało, że ojciec do niczego go nie używał, ani sam nie rusza się z gródka. Lżejby mu było, gdyby się mógł rzucić w walki i niebezpieczeństwa, niż teraz, gdy tak czekał bezczynnie. Już raz też napomykał o tem ojcu, lecz ten rzekł, patrząc nań dziwnie:

— Poczekaj, dość jeszcze będzie czasu na to.

Nie wiadano jednak w gródku o powrocie króla, aż kneź Odyłon, przybywający z góry Łysej ze swymi więźniami, przywiózł tę niepokojącą wiadomość. Nie można było poznać na kamiennej twarzy knezia Mszczuja, jakie wrażenie zrobiła nań owa wiadomość, stał się tylko jeszcze surowszym dla otaczających, tak, że drżeli, gdy wzrok jego spoczął na którym.

Obaj zakonnicy przybyli już późnym wieczorem do gródka, ale nazajutrz rano brat Angelo, spojrzawszy w okno na rozciągającą się u stóp jego dolinę — rzekł w zamyśleniu, jak gdyby coś sobie przypominał:

— Jakie to dziwne, wiem dobrze, że nigdy w życiu nie byłem tu, a jednak dolina ta wydaje mi się znaną... Musiałem chyba w czasie podróży naszej widzieć podobną...

I zamyslił się, chcąc sobie przypomnieć, gdzie mógł widzieć podobną okolicę.

Ludzie w gródku z podziwem spoglądali na zakonników, gdy bez trwogi stanęli przed kneziem Wilkiem i spokojnie znieśli jego wzrok groźny siejący postrach dokoła.

Nawet Drahomir był tem niezmiernie zdziwiony:

— Wiesz, ci księża mi się podobają, mówił do Ładona. To dzielni ludzie; nie przelekli się wzroku mego ojca, przed którym, jak wiadomo, drżą najodważniejsi, a nawet mnie samemu czasem znieść go trudno.

Tydzień upłynął od czasu, jak dwaj zakonnicy przybyli do gniazda dzikich sokołów; w gródku już obyto się z nimi, i oni poczęli też myśleć nad tem usilnie, by zasiał tu ziarna

ęczyźni byli zanadto zajęci innymi sprawami, aby

można było znaleźć do nich przystęp, ale pozostawały niewiasty, na które nikt teraz nie zwracał uwagi.

Nie spotkali też żadnych trudności w tym względzie i zamiary ich powiodły się zupełnie; biedne, wiecznie zamknięte niewiasty z zapalem przejęły się odrazu, zasadami wiary, która dawała im pociechę w ich ciężkim życiu. Szczególnie Ziezila, której czuła dusza oddawna tęskniła za czemś podnioslejszem i łagodniejszem, z uniesieniem chłonęła niemal w siebie nauki, otrzymywane z ust O. Augustyna i odżyła teraz, jak odżywa roślina, na którą spadnie deszcz wiosenny.

Ładon jeden był przypuszczanym do owej tajemnicy, pewnego dnia ojciec Augustym przyszedł do niego, mówiąc.

— Sądzę, że nie odmówicie nam rycerzu małej usługi, zwłaszcza, że przyczynicie się tem do świętej sprawy i będziecie mieli zasługę u Boga.

— O cóż idzie, ojcze? — spytał Ładon. Jam zawsze gotów wam służyć.

— Oto nie znamy jeszcze tak dobrze tutejszej mowy, aby mózż obszerniej wyłożyć zasady wiary naszej świętej owym niewiastom nowonawróconym; pomóżcie nam w tem, rycerzu, a będziemy wam wdzięczni...

— Wiercie mi ojcze, że z radością spełnię wasze życzenie — rzekł Ładon — rad bowiem jestem, iż choć w małej części przyczynię się do spełnienia tak świętego dzieła...

— Bardzo to są chwalebne chęci — rzekł żywo starszszak — odrazu też poznałem po was, że jesteście prawym, statecznym rycerzem, któremu zaufać można.

— Ładon uśmiechnął się lekko na te słowa.

— A jeśli byście się omylili ojcze w waszych przewidywaniach, to cóżby było?

O. Augustyn popatrzył z uwagą w oblicze młodego rycerza, technące otwartością i szczerością i rzekł, kręcąc głową.

— A, nie, nie; ja znam się na ludziach, i nigdy się nie myślę, bądźcie o to spokojni; sześćdziesiąt lat patrzę na ten świat boży. A co jeszcze dodam, że ludzie u was szczeri jacyś, niż gdzieindziej i łatwiej na ich twarzy wyczytać co myślą, a serca mają, gorące, choć niebo wasze zimne. Powiedźcie też mi, czy u was tu zawsze słońce nie nie grzeje? Brat Angelo, jako młody, łatwiej jakoś przywyka do tego kraju, ale mnie wciąż zimno.

A wszakże dziś dzień upalny — rzekł Ładon — i nasi ludzie narzekają na gorąco. Ale gdybym nie słyszał tego od was, nigdybym nie uwierzył, że brat Angelo na włoskiej ziemi się urodził, bo tam u was wszyscy ludzie czarnowłosi i ogorzali, że pamiętam, zrazu przywykną do tego nie mogłem...

— Więc znacie Italię naszą? zawołał starszszak z radośnym zdziwieniem.

— Znam, i nie dziwuję się, że jej nie możecie zapamiętać, sam bowiem dotąd ją wspominam.

Poczem poszli obaj na stronę zamieszkiwaną przez kobiety. Ładon, od czasu jak się znajdował w gródku, bardzo mało widywał którąkolwiek z nich, bo zwykle się kryły za ukazaniem się jego, zarówno Ziezila, jak jej służebne.

Gdy wszedł do świetlicy, poprzedzony przez O. Augustyna, zastał je tam wszystkie zgromadzone dokoła młodej księżniczki, która oblana rumieńcem, z opuszczonymi oczami jako gołąbka trwożliwa, stała, czekając ich zbliżenia.

— Moja córko — rzekł O. Augustyn — oto ten rycerz, jako lepiej od nas znający mowę waszą, dopomoże nam w obszerniejszem wyłożeniu zasad wiary świętej, której pierwsze pojęcia jużście posiadły.

Ziezila odrzekła cichym, drżącym głosem, niepodnosząc oczu:

— Niech będzie jako chcecie, ojcze.

Ładon więc pozostał, aby pomagać O. Augustynowi w wykładaniu zasad wiary, których wszystkie niewiasty, a osobliwie Ziezila, słuchały z uwagą i przejęciem.

W końcu nawet Ziezila ośmieliła się podnieść oczy na mówiącego Ładona i zadawać niektóre pytania dotyczące

nieznanych jej przedmiotów religii chrześcijańskiej, z gorącym też zapalem przyjmowała wszelkie nauki O. Augustyna, wylewając łzy żalu przy opowiadaniu o męce Jezusa Chrystusa.

Jednego dnia Drahomir wszedł niespodzianie do świątynicy i spostrzegł, że Ziezila coś spieszenie ukryła na pierśsiach; był to krzyżyk, dany jej przez O. Augustyna; byłby jednak nie zwrócił uwagi, będąc zajętem czem innym, lecz ona zbliżyła się sama i rzekła drżącym głosem:

— Przed tobą, bracie, nie chcę mieć nic skrytego; choćbym miała na gniew twój się narazić, wyznam wszystko: Oto wyszedłam się bogów dawnych, jestem chrześcijanką.

— Co? Co ty mówisz szalona? zawołał Drahomir.

— Mówię prawdę — rzekła Ziezilia z większą śmiałością. — Oddawna już chciałam ci to wyznać, bo ciężko mi było rzecz taką przed tobą ukrywać.

— Idź mi z oczu, szalona dziewczko — zawołał Drahomir w najwyższym gniewie. Ty, ty mogłaś to zrobić? I nie bałaś się gniewu ojca, który mógłby cię zabić, gdyby o tem wiedział? A ci księża! Zapłacą mi za to!

— Nie mów tak bracie! — zawołała Ziezilia. — To prawdziwi święci, z nieba zesłani na to, aby wlać spokój i pociechę w moje biedne serce. Dziękuję Bogu, że ich tu przywiódł.

— Jak widzę, opętali cię zupełnie — rzekł Drahomir, patrząc na nią tym razem bardziej z politowaniem niż z gniewem. Co za dziw? Powiniennem się był domyśleć, że muszą oni mieć sposoby zastawiania siedeł na łatwowieczne dusze. Wiadomo, że u niewiast włosy długie, a rozum krótki. Staraj że się teraz by ojciec o niczem nie wiedział, bo wtedy za nic nie ręczę. A z tymi krukami ja sam pogadam. I poszedł do Ładona.

— Co się stało? — spytał Ładon — ujrawszy wchodzącego Drahomira, i spostrzegłszy, że jest wzburzonym.

— Co się stało? — odparł młody kneź. Oto dowiedziałem się, że te czarne kruki, wśliznąwszy się tu chytrze, obalamucili mi siostrę, by odstąpiła dawnej wiary a ty, zamiast jako druh, uprzedzić o zdradzie, milczeniem to pokrywałes, a może i dopomagałes.

— Bracie — rzekł Ładon, kładąc mu rękę na ramieniu — uspokój się. Wyznam, że dopomagałem w tem, o ile było w mej mocy, lecz nie uważam to za zdradę przyjaźni, ani złą odpłatę za gościnność, i ty sam, gdy rozważysz w spokoju, przyznasz mi słuszność.

— Nie rozumiem takich różnic — odparł Drahomir.

— Bo w tej chwili jesteś zbyt wzburzonym, by mię słuchać spokojnie — rzekł Ładon. — Ale powiedz: czy ty sam nie trzymasz się dawnej wiary tylko dla tego, że taki obyczaj w twoim rodzie? Cokolwiekbyś rzekł, jestem pewny, że nie możesz wierzyć naprawdę w owych bogów, którzy nigdy nie istnieli, a byli wymyśleni tylko przez ciemnotę i zabobon? Ty wiesz o tem tak dobrze jak ja; nadto wiele masz rozumu, byś mógł sądzić inaczej.

— Może i tak — rzekł Drahomir pośpiesnie, ale wolał-

byś nie mówić mi o tem, gdyż ja dotąd sam sobie tego nie śmiałem powiedzieć. Oddawna myśli podobne wciskały mi się do głowy, ale starałem się je odpędzać, boć przecie człowiek musi w coś wierzyć.

A choćby i prawda była po twej stronie, czyż dziewczki mają, sądzić o tem? One powinny słuchać, co starsi od nich mężowie postanowią a rządzić się swoim rozumem nie ich to rzecz, bo tylko sobie zgubę zgotować mogą.

— Tym razem jednak one trafiły prędzej na drogę prawdy, niż ty, mąż — odrzekł Ładon. Teraz dopiero rozumem dla czego wasze niewiasty takie smutne i nieszczęśliwie się zdają. Od kiedy tu jestem, jeszcze ani razu nie słyszałem, by śpiewały. I ja mam dwie siostry w domu, lecz one są szczęśliwe; cały dzień słysząc ich śpiew wesóły, rozlegający się po domu. Nie chciałbym nigdy ich czem zasmucić, bo nie mogę patrzeć na łzy niewiast, one odbierają odwagę. I szczerze ci mówię, że wolałbym stokroć mieć przed sobą dwudziesięciu wrogów, zakutych w stal, niż jedną płaczącą niewiastę. Pozwoliłbym raczej, by rządziły w obrębie domu, boć to ich rzecz, a za nic nie chciałbym widzieć dokoła siebie twarzy płaczących i zalęknionych, jak tu u was widzę...

— To chyba wy Polanie, pozwalacie, by wam niewiasty rozporządzały się w domu, u nas tego niema — odrzekł Drahomir. — Nie mówię ja, żeby je gnębić i gdybym był panem w domu, nigdyby tego nie było, bo żadnego słabego stworzenia uciskać nie lubię, ale dać im wolność, to jedno, co szalonemu włożyć miecz do ręki, same by sobie jeno złego narobiły i nic więcej.

— Nasza zaś wiara uczy szanować niewiastę, odparł Ładon, każdy z nas przecie miał matkę, i przez pamięć dla niej powinien bronić inne niewiasty od krzywdy. Każdy rycerz przysięga, że przez całe życie będzie bronił słabych i uciśnionych; bywają tacy co tego nie dotrzymują, ale też ściągają na siebie wieczną hańbę. Nie wiem jak tam gdzieindziej, ale za moich towarzyszy, którzy wszyscy byli pasowanymi na rycerzy przez króla lub cesarza Ottona, mogę ręczyć jak za siebie, że się nigdy podobną rzeczą nie splamą, a jeśliby nawet który tego się dopuścił, to natychmiast sami usunęlibyśmy go z pomiędzy siebie na zawsze. Nie chcemy bowiem, by Niemcy nazywali nas barbarzyńcami i wynosili się po nad nas, jak to dotąd czynili. Dlatego też gdyśmy chodzili z cesarzem Ottonem do Włoch, daliśmy sobie słowo, że w niczem nie przekroczymy obowiązków prawego rycerza...

— Widzę ja dobrze, że ty w innym żyłeś świecie — odrzekł Drahomir z westchnieniem, w którym przebiegało się zniechęcenie głębokie; u nas nawet nie usłyszysz nic podobnego. Ta dolina i ten gródek ot, wszystko, co widzimy i znamy. A jednak, czuję dobrze, że nie byłem stworzony do podobnego życia, i nieraz cięży mi ono jak kamień!

(d. c. n.)

Sprostowanie. W N-rze 49 na str. 385, wiersz 7 od góry, mylnie wydrukowano r. 1583, powinno być 1683.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na 1899 rok dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

WZGLĘD: Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. — Pomnik Jędrzeja Śniadeckiego (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: W wigilię Bożego Narodzenia. — Grzeczny Bryś, wiersz przez I. M. — Gry i zabawy, przedstawienie przysłówia. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.



p. J. Osęka.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dalszy ciąg)

Henryczek zachwycony i oczarowany, nie mógł nacieszyć się widokiem tych wszystkich dziwów.

— Jakże tu pięknie! jak ślicznie! — wołał.

W tej chwili nie myślał już o rodzicach, o panu Broniczu, o nieszczęśliwym dzienniczku, widział tylko śliczne pałacyki i zachwycające drzewka.

— Jeśli ci się u nas podoba — zawołał jeden z karczalków, to zostań z nami, zobaczysz jak tu przyjemnie; na naszych choinkach niczego nie brakuje. Ja nazywam się Sopelek, mam obszerny dom, pomieścisz się ze mną. Dobrze?

— Dobrze! dobrze — zawołał ucieszony Henryczek.

Sopelek zaprowadził go z sobą do domku zbudowanego w guście szwajcarskim. Przez lodowe okna widać było las choinkowy i różnokolorowe światełka, słychać było śpiewy i śmiechy. Henryczek usnął na puchowem pościeli, marząc o czarach i dziwach, jakie widział, pełen radości, że się dostał do tej uroczej krainy.

II.

Państwo Śniegoludków.

— Wstawaj Henryczku, już słońce jasno świeci, urządzamy dziś wspaniałe polowanie — wołał Sopelek, dzwoniąc nad nim kapturkiem.

Chłopczyk zerwał się zwałwo i włożył śliczne białe ubranko, podbite futerkiem, które mu Sopelek podał.

Wyszli na dwór; gromadki Śniegoludków uwijały się wszędzie, a pod wysokim świerkiem stało już liczne grono myśliwych.

— Ładny dzień — mówił Sopelek — mamy dojechać na łyżwach do modrzewiowego lasu, tam będzie polowanie; umiesz się ślizgać?

— Umiem — odparł Henryczek, któremu oczy błyszczały z radości — i strzelać także potrafię.

— To bardzo dobrze. Wybierz więc sobie jakie chcesz łyżwy i fuzyę, z tych które wiszą na choinkach, wybór masz nie mały. Radzi ci bardzo jesteśmy, a osobliwie ja od razu cię polubiłem. Wróć zaraz na śniadanie pod ten świerk. Chciałbym, żeby ci u nas przyjemnie było.

— Jakżeby mogło być inaczej — odparł serdecznie chłopczyk, ujęty uprzejmością Śniegoludka, — nie wiem czem zasłużyłem na taką dobroć z waszej strony.

— Podobałeś się nam wszystkim, ale wybierz sobie broń, poczekamy chwilę.

— Jaki on miły! — myślał uradowany chłopczyk, biegnąc do choinek.

Wybór był rzeczywiście trudny, jedna broń ładniejsza od drugiej, w końcu na niewielkiej choince spostrzegł fuzyjkę tak prześliczną, że wydał okrzyk zachwyty. Kolba była z kości słoniowej nasadzana złotem, a lufy srebrne; obok wisiał pas lity i torba myśliwska.

— Jeśli mi pozwolą wziąć tę fuzyjkę, już mi nie będzie brakowało do szczęścia w tej uroczej krainie — wykrzyknął chłopczyk głośno. Nagle usłyszał przyciszony, drwiący śmiech, i z pod choinki wysunęła się staruszka otulona jakąś czerwoną płachtą, wspięła się po drabinie na drzewko, odwiązała fuzyjkę razem z przyborymi i podała Henryczkowi, mówiąc:

— Oto masz, chłopczyku, coś chciał, teraz ci już niczego w tej czarownej krainie do szczęścia brakować nie powinno.

Ten śmiech szyderyczy zadziwił Henryczka; spojrzął uważniej, staruszka miała szare o łagodnym spojrzeniu oczy, a usta jej, które się już śmiać przestały, przybrały wyraz smutku i pogardy; w głosie jej brzmiało współczucie gdy spytała:

— Czy cię Śniegoludki dawno schwytały?

— Wcale mnie nikt nie chwycił — odparł coraz więcej zdziwiony Henryczek; — zaprosili mnie, jestem od wczoraj i niewypowiedzianie rad, że się tutaj dostałem.

— Tak? ja znowu byłąbym niewypowiedzianie ra-

ly, gdybym się stąd wydostać mogła, ale to inna rzecz... No, sam się niedługo przekonasz, tymczasem bądź zdrow.

Znikła wśród gęstwiny, a chłopczyk zdziwiony i trochę zaniepokojony, wrócił do swoich towarzyszy.

Myśliwi siedząc na pieńkach spożywali wesoło ciepłe śniadanie, półmiski dymiącego bigosu obnoszono w koło, Sopelek i duży karzeł Szronek byli gospodarzami.

Henryczek zabrał się z apetytem do jedzenia, gdy nadszedł jeszcze jeden karzełek, którego powitano głośniejszymi okrzykami.

— Dawnośmy cię nie widzieli, Gradochmurze — zawołał Sopelek — co się z tobą działo? Błady jesteś, czy potkała cię jaka zła przygoda?

— Witam was towarzysze — odpowiedział wesoło Gradochmur — W istocie, spotkała mnie przygoda. Ale złą jej nie nazywam.

I na prośbę wszystkich opowiadać zaczął.

— Jak wiecie, oddalić się musiałem dla ważnych spraw w daleką krainę. Spieszyłem o ile możności, gdyż ciężko mi było do was, ale okoliczności zatrzymywały mnie. Zwolniwszy się wreszcie, mimo złej pory, puściłem się w drogę. Gdym wjechał w gęsty las noc już nadeszła i zerwał się silny wiatr, a śnieg zaczął zasypywać drogę tak, że niebawem zbłądziliśmy.

Wysiadłem z sanek aby szukać śladu, gdy nagle wśród wycia wichru usłyszałem przeciągły jęk; zwróciłem się w tę stronę i ujrzałem ogromnego wilka, który wyprzedzając mnie o kilkanaście kroków, biegł prosto na jakąś nieruchomą, drobną postać. Miałem przy sobie cutą łaskę i kordelas myśliwski; widząc, że niema czasu do stracenia, zacząłem biec i zrównawszy się z wilkiem w chwili, gdy miał się rzucić na swoją ofiarę, zręcznym ruchem wbiłem mu nóż między łopatki.

Wśród słuchaczy dał się słyszeć szmer uznania; Henryczek patrzył na mówcę z prawdziwym uwielbieniem.

— Zbliżyłem się do wylękłego, zbłąkanego chłopczyzny — ciągnął dalej Gradochmur — uspokoilem go, odziałem swoim futrem, widząc że drży z zimna i zaczęliśmy iść razem. Nagle wśród gałęzi zaiskrzyły się ślepi wilczyca, która z przeraźliwym wyciem rzuciła się na zabite przezemnie zwierzę.

— Uciekajmy — jęknął chłopiec.

— Puściłem go przodem, aby miał czas skierować się do moich sanek, a woźnica wzięwszy go za mnie, popędził konie i wkrótce zniknęli mi z oczu. Biedne dziecko, widocznie ze wzruszenia, nie pomyślało nawet o mnie...

— A to czarna niewdzięczność! — zawołało kilka głosów.

— Nie biorę mu tego za złe — odparł pobłaźliwie Gradochmur — cóż on winien, jeśli nad strachem zapanować nie umiał? Mając przy sobie broń, zdołałem pokonać wilczycę, przyczem wszakże zostałem skaleczony. — To mówiąc Śniegoludek pokazał szeroką bliznę na ręku. Przez cały dzień błąkałem się po lesie, dopiero na noc trafiłem do wioski, gdzie odpocząłem trochę.

— Towarzysze — wykrzyknął Szronek — wnoszę zdrowie Gradochmura, w którym nie wiemy co więcej podziwiać, szlachetność i skromność, czy też siłę i odwagę!

— Śniegoludki odpowiedziały głośniejszym okrzykiem. Wtórował im szczerze Henryczek. Gradochmur wydał się mu istnym bohaterem, takim jak ci, o których czytał w swoich ulubionych książkach. On sam jednak zmieszany pochwałami, dziękował upewniając z prostotą, że nie dokonał niczego nadzwyczajnego.

— Jaki on szlachetny! — myślał Henryczek, a głośniejszo dodał: — Sopolku, czy nie mógłbym na stanowisku zająć miejsce obok niego? Ale może taki bohater nie zechce...

— Widzisz przecie, że nie jest wcale zarozumiały — odrzekł Sopelek — sądzę też, że z chęcią zgodzisz się na to.

Gradochmur rzeczywiście okazał się gotowym towarzyszyć Henrysowi, którego mu przedstawiono. Część myśliwych wioząc broń udała się do modrzewiowego lasu, reszta mająca dojechać tam na łyżwach, zwróciła się ku rzece. Rzeka była szeroka i gładka, jak tafła szkła.

— Będziemy się ścigali — objaśniał Henryczka stojący obok niego Sopelek — ruszymy skoro zatrabię; meta jest ten modrzew, ot tam daleko. Kto pierwszy dojedzie, otrzyma w nagrodę order Białego Niedźwiedzia, do którego są przywiązane różne przywileje. Gdyby to mnie się udało...

Henryczek zapragnął tego samego dla siebie; ślizgał się doskonale, nad kolegami zawsze brał górę. Jakież uznanie zyskałby tu odrazu, gdyby dobiegł pierwszy! Wśród ustawionych szeregów Śniegoludków, widać twarze rozgorączkowane oczekiwaniem sygnału. Co za przyjemność byłaby zwyciężyć wszystkich... Wreszcie słyhać trąbkę, towarzystwo puszcza się pędem naprzód.

Henryczkowi zdaje się, że łyżwy same go niosą. Wkrótce wysuwa się naprzód kilku najdzielniejszych łyżwiarzy, ale liczba ich stopniowo maleje, tak, że w końcu pędzi ich tylko trzech: Szronek, Sopelek i Henryczek; lecz i Sopelek zostaje w tyle, a Henryczek widzi już o kilkanaście kroków ów modrzew, do którego dążą i przy którym stoi cały tłum Śniegoludków, oklaskami i okrzykami zachęcający do szybszego biegu. Mimo, że czuł już zmęczenie, rzuca się z wielkim wysiłkiem naprzód. Wtem, łyżwa zahacza się mu o jakiś twardy przedmiot, on traci równowagę i pada.

Po chwili rozlegają się okrzyki zwiastujące zwycięstwo Szronka, a tymczasem Sopelek i inni łyżwiarze podnoszą Henryczka. Skroń ma zakrwawioną, czuje się zmieszany i upokorzony.

— Potknąłem się o coś — tłumaczy, powstając z trudnością.

— Gdzie? o co? — pytają karzełki — musiały ci się chyba łyżwy wykręcić, przecież lód dziś jeszcze był obmieciony.

— Na pewno się potknąłem — powtarza Henryczek.

Ale Śniegoludki uśmiechają się drwiąco, bo na lodzie niema nawet płatka śniegu. Tymczasem nie ustają okrzyki na cześć Szronka, który wystrojony w order Białego niedźwiedzia, odbiera zewsząd powinszowania.

Rana Henryczka była lekka, Sopolku przyłożył mu garść śniegu i dał się napić jakiegoś mocnego napoju. Chłopczyk przyszedł zupełnie do siebie i serdecznie podziękował Sopolkowi za troskliwość.

— Przejdź się trochę po lesie, nim się myśliwi ustawią — poradził Sopelek.

Henryczek, posłuchał chętnie i zapuścił się w las.

Gwar zachwytów i pochwał dla Szronka, przycichłał stopniowo, chłopczyk szedł coraz prędzej, rozmyślając, co mogło być powodem jego wypadku?

Aż obejrzawszy się, spostrzegł, że jest w głuszy leśnej. Pusto było w okolo i ciemnowo, gdyż gałęzie obciążone śniegiem niewiele przepuszczały światła. A nuż wypadnie na niego dzikie wilczysko...

Nie miał przy sobie broni, więc zaniepokojony podniósł sękaty kij z ziemi i spiesznie zawrócił z powrotem.

Wtem doleciał go krzyk... Henryczek zatrzymał się; krzyk powtórzył się znowu. Chłopczyk przypomniał sobie jak podziwiał odwagę Gradochmura... czy stehórzy teraz, kiedy tu może ktoś potrzebuje jego pomocy? Ta myśl dodała mu odwagi. Ścisnął kij w rękę i zwrócił się w stronę skąd krzyk dochodził.

Do małej dziewczynki, która napróżno usiłowała wspiąć się na cienkie drzewko, doskakiwał ogromny pies i szczyrzył białe, ostre zęby. Henryczek dobiegł w sam czas aby stanąć między psem, a dzieckiem i sękatym kijem uderzył z całej siły zwierzę, które wnet rzuciło się na niego, a szarpiąc ubranie, ukąsiło dotkliwie w nogę. Chłopiec jęknął z bólu, lecz odważnie walczył dalej, aż wreszcie pies uciekł, skomląc, a on uspokoiwszy dziecko, wziął je ze sobą. W połowie drogi spotkali kilku Śniegoludków przywabionych wrzawą. Chłopczyk dumny i szczęśliwy opowiedział co zaszło. Karzełki słuchały bardzo obojętnie.

— Co tam pies! — rzekł Śnieżysty; Gradochmur to mi bohater, on dwa wilki zabił..

— Lodnik dzika powalił kordelasem — dodał drugi.

— Z nimi trudno ci się równać — rzekł trzeci.

Sam Henryczek czuł to dobrze i wobec, tamtych uznawał się małym i nic nie znaczącym. Tymczasem polowanie już się zaczęło, ujawszy swoją śliczną fuzyjkę, chciał spróbować czy trafi do celu; wymierzył więc starannie, pociągnął za cyngiel, a wtem... fuzya rozprysła się w kawałki, raniąc mu lewą rękę. Ukrył wszakże bohaterstwo chłopiec zarówno ból jak przestрах i wybrał z pozostałych nową fuzyjkę, i choć niepewny już siebie, odszukał Gradochmura, który przywitał go bardzo uprzejmie.

(d. c. n.)

Grzeczny Bryś.

Przyjechali do Józika
Krewni jego, Staś i Zdziś;
Wnet do gości się przymyka
Z powitaniem, grzeczny Bryś.

I, jak może, okazuje,
Że gościnnym szczerze jest;
Łapę daje, poszczekuje,
I ogonem robi gest.

Gdy się z nim już przywitani,
Do zabawy staje wnet
Pamiętajcie goście mali,
Odplacić mu wet za wet...
Niech grzecznością w waszem kole
Nie przoduje piesek sam —
Tak zamienić z Brysiem role,
Czyżby ładnie było wam?...

O nie, wstydy był nielada,
Żeby czworonożny Bryś
Lepiej wiedział co wypada,
Niżli Stasio albo Zdziś.

I. M.

GRY i ZABAWY.

PRZEDSTAWIENIE PRZYSŁOWIA.

MANIA (do Zygmunia, który wchodzi z książkami pod pachą). A to co, Zygmuniu, czemu ty dziś tak późno wracasz ze szkoły?

ZYGMUŚ (zmieszany). Nie, bo...

KAROLEK (podnosi głowę z nad książki). Jakie „niebo,” byłeś w niebie? pewnieby cię św. Piotr tam nie przyjął i powiedział: Wracaj sobie na ziemię, my tu takich, co wczoraj dostali dwójkę, nie potrzebujemy.

MANIA (do Karolka). Nie dokuczaj mu już tą dwójką; przecie mu się to pierwszy raz zdarzyło i obiecał ojcu, że się więcej nie powtórzy.

KAROLEK (drwiąc). Aha! i do przyszłej dwójki pewnie tej obietnicy dotrzyma.

MANIA (do Zygmunia). No, powiedz szczerze, czemu tak późno wracasz ze szkoły?

ZYGMUŚ (wciąż zmieszany). Zdarzył mi się wypadek.

MANIA. Wypadek?

ZYGMUŚ. Tak się jakoś złożyło, że pokłóciłem się z Edziem i uderzyłem go w nos...

KAROLEK. A śliczny wypadek! rzeczywiście, taki wypadek to się może zdarzyć tylko nadzwyczaj dobrze wychowanemu człowiekowi!

ZYGMUŚ. Przepraszam! Każdemu może się zdarzyć, gdy mu ktoś nieustannie dokucza, tak jak mnie Edzio.

KAROLEK. Jeszcze taki malec, jak Edzio — jest się na kogo obrażać! należało ci z pogardą wzruszyć ramionami i nie zwracać uwagi na to, co on robi albo mówi.

ZYGMUŚ. Tak! łatwo nie zwracać uwagi, kiedy on przez całą pauzę macha mi wciąż ręką przed oczami i ciągle powtarza: „Ja mam prawo tu machać, bo to jest powietrze tak dobrze moje jak twoje.”

KAROLEK. Ha, ha, ha! jaki dowcipny!

MANIA. Nie wielki to dowcip komuś dokuczać, ale właściwie nie rozumiem jeszcze, dla czego się tak spóźniłeś; przecie sprzeczka z Edziem nie zajęła ci godziny czasu.

ZYGMUŚ. Kiedy on taki gagatek: dostał pięścią i zaraz w bek; profesor nadszedł i kazał mi za karę całą godzinę odsiedzieć w szkole.

KAROLEK. Bo też ty wiecznie musisz mieć jakieś awantury, ja nie rozumiem, jak to się można o byle co zaraz unosić, bić, narażać przed profesorem, jak jaki sztubak z pierwszej klasy!

SCENA II.

Ciż sami, HELCIA.

HELCIA (*wbiega w kapeluszu i okrywcę*). Jak się macie! przyszłam się spytać, czy nie wybieracie się dziś na ślizgawkę, bo ja mam okropną ochotę, a nie mam z kim pójść.

MANIA. A twój brat?

HELCIA. Oho, brat! on się nie może dzisiaj ludziom pokazywać. (*Karolek usuwa się na bok widocznie zmieszany*).

ZYGMUŚ. Czemu?

HELCIA. A bo mu któryś kolega oko podbił!

MANIA. Nie może być? ależ to ci chłopcy to wiecznie się bić muszą! No, chwała Bogu, że my jesteśmy od nich lepiej wychowane.

HELCIA. Adaś nie winien, tylko tamten...

KAROLEK (*żywo*). Bardzo przepraszam, właśnie, że to Adaś winien, bo gdyby nie był pokazał języka, gdy profesor tamtemu dał dwójkę...

HELCIA. To nie on pierwszy, to właśnie tamten...

KAROLEK. Przeciwnie: Adaś pierwszy, gdy tylko profesor zniknął za drzwiami, pokazał język, w czasie, gdy tamten dopiero myślał...

MANIA. A ty skąd wiesz co tamten myślał?

KAROLEK (*zmieszany*), A no.. bo wiem.. bo tak sły-
szałem...

HELCIA (*patrząc na niego*). Ej, czy to nie pan Karol przypadkiem jest sam owym rycerzem wojującym, bo mi się jakoś podejrzana wydaje ta gwałtowna obrona..

ZYGMUŚ (*klaszcząc w ręce*). Karol! Karol z pewnością; ot, jak się sam wygadał i o dwójce i o podbitem oku; to pewnie on.

KAROLEK. A gdyby nawet i ja, to i cóż z tego? Czegoż przybierasz takie tryumfujące miny, jakbyś odkrył Amerykę?

ZYGMUŚ. A no, nic. Ameryki nie odkryłem, ale ty za to odegrałeś ze mną przysłowie— jakiego? Widzowie odgadnąć powinni.

Irena Mrozowicka.

SZARADA.

ułożyła Podolanka.

I.

Gdy drugą z pierwszą w jedną całość złożysz,
Wnet nazwę miasta znacznego utworzysz,
Co leży w kraju zdobywszy Pizara,
Kędy go złota przynęciła mara.
Zaś druga-trzecia w wodach naszych żyje,
W głębinach mułu, przed siecią się kryje;
Wszystko, gdy letnie słońceczko zaświeci
Jedzą ze smakiem tak starzy, jak dzieci.

II.

Pierwsze słowo własności oznacza jedynie
Drugie jest wielką rzeką co w Afryce płynie.
Trzecie zaś nutą śpiewną; — wszystko u wybrzeży
Oceanu Wschodniego, wśród wysp znanych leży
Które słyną groźnego monarchy imieniem, *)
Oraz zgonu, sławnego żeglarza wspomnieniem. **)

ARYTMOGRYF.

Od Wichury dla Niezabudki.

- 1) 14, 7, 17, 22, 20, 21, 24. Imię męskie.
- 2) 22, 3, 26, 7, 19, 15, 6. Nimfy wodne w myt. słowiań.
- 3) 7, 2, 3, 22. Rzeka syberyjska.
- 4) 1, 12, 19, 18, 21. Morze na Wschodzie.
- 5) 20, 3, 15, 7, 18, 7, 10. Półwysep w Ameryce.
- 6) 10, 7, 26, 6, 21, 24, 26, 15. Miasto w gub. Łomżyńsk.
- 7) 5, 18, 18, 20, 24, 7. Król Hunnów.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery ułożonych wyrazów złożyły tytuł utworu A. Mickiewicza, ostatnie T. Lenartowicza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48.

Zagadki: Puszczyk.

Łamigłówek głoskowej:

Z kim kto przestaje takim się staje.

Figielka:

| | | |
|---|---|----------|
| T | K | T e k a. |
|---|---|----------|

Skrzynka do listów.

Jaka szkoda, że Muszka Ukraińska częściej mnie swym listkiem obdarzyć dla braku czasu nie może, z prawdziwą bowiem przyjemnością odczytałam jej ostatnią korespondencję. Widocznie wymagania nauczycielki nie są bezowocne, skoro Muszka coraz staranniej i ładniej uczy się pisać. Gdy więc nauka idzie tak dobrze życzę ci Muszko dużo przyjemności na ślizgawce, na którą się cieszysz.

Niechże tylko Pieszczoszka dotrzyma obietnicy pisania często do mnie, a sądzę, że wkrótce czasie poznamy się jak najlepiej i polubimy, mianowicie jeżeli listy twe będą zawsze równie szczerze.

Życzenie objawione w pierwszym twym liście, droga Szczebiotko nie mogło mi obrazić, ani też dać o tobie złego wyobrażenia. Zadowolilibym też je chętnie, gdybym tylko mogła. Zdarzenie jakie mi opisujesz bardzo mi zajęło. Wyrzec się przyjemności, na którą oddawna się cieszymy, nie każdemu równie łatwo przychodzi, ale otóż pytanie czyja ostatecznie zasługa większa? Następnego twego listu wyglądać będę, dziś przesyłam ci szczerze pozdrowienia.

Jaskółka.

Własnego układu zagadki i łamigłówek nadesłali: Stokrotka z Sobotówki, Wichura, Kozaczek, Czarny rycerz, Marylka i Tadzio W. dobre zaś rozwiązania: Orzeł karpacki, Władzo N., Anulka, Smok i Zośka B.